

[SPOŁECZEŃSTWO]

Raj utracony

Izabela Dąbrowska – aktorka filmowa i teatralna. Widzowie polubili ją za brawurową kreację pani Basi, sekretarki prezesa w satyrycznym serialu „Ucho prezesa”. Ma w swoim dorobku ponad sto ról filmowych i telewizyjnych. Zagrała m.in. w „Bożej podszewce”, „Galeriankach”, „Kołysance”, „Wszystko będzie dobrze”, „Trzy minuty. 21:37”, „Idzie”, „Bogach”, „Powidokach”. Współpracuje z warszawskimi teatrami: Teatrem Dramatycznym, Och-Teatrem, Teatrem Kamienica, Teatrem 6. piętro.

Nie ma mojego Podlasia, idyllicznej krainy dzieciństwa. Traciłam je podczas pracy nad „Naszą klasą”, kiedy pojechaliśmy w czasie prób do Jedwabnego. I tracę je teraz, kiedy patrzę na to, co się dzieje na granicy – mówi aktorka **Izabela Dąbrowska**.

KATARZYNA KACZOROWSKA: – Jest pani Polką z korzeniami ukraińskimi i białoruskimi. Urodzona w Białymstoku kobieta pogranicza?

IZABELA DĄBROWSKA: – Tak, co więcej zawsze miałam poczucie przynależności do moich rodzinnych stron, do wiejskich korzeni, bo do trzeciego roku życia wychowywałam się na wsi u dziadków. Moim pierwszym językiem nie był polski, tylko tzw. język prosty, którym posługiwali się mieszkańcy tego pogranicza.

To mieszanek polskiego i białoruskiego?

Tak, mówili nim moi dziadkowie i mieszkańcy Kołodna, wioski, w której spędzałam każde wakacje do ukończenia szkoły podstawowej. Tam w okolicy każda wieś miała troszeczkę inny dialekt. Niektóre miały więcej naleciałości ukraińskich, inne – jak Kołodno – więcej białoruskich. Do dzisiaj nie wiem, od czego zależały te wyspy, może mniej się ludzie mieszały? Odwiedzali się, może w interesach do siebie jeździli, ale język jednak zachowywali odrębny, choć podobny. Bardzo byłam związana i z tą wsią, i z dziadkami. Babcia była Ukrainką z okolic Równego. W czasie wojny została wywieziona do Niemiec na roboty, w pobliże Hanoweru, i tam poznała dziadka.

Który był Polakiem, Białorusinem czy tutejszym?

Oczywiście, że tutejszym. Z Kołodna. On też został wywieziony do Niemiec. A że Niemcy mieli potrzebę klasyfikowania wszystkich według przynależności narodowościowej, to dziadek na rękawie nosił emblemat białoruski. Niemcy uznali go więc za Białorusina, choć on nigdy tego nie podkreślał. Tak samo jak nie podkreślał tego, że jest Polakiem. Był po prostu stąd, był tutejszy. Moja mama urodziła się w Rzeszy, ma metrykę ze swastyką. Po wojnie dziadkowie zdecydowali, że wracają do Polski, ale rozdzielono ich. Najpierw do Kołodna dotarła babcia z moją 9-miesięczną mamą. Dziadek trochę później, przez zburzoną Warszawę.

Jaka była ta ukraińska babcia?

Była bardzo silną kobietą, z mocnym poczuciem własnej godności. I dumy. Uczyła się w szkole felczerskiej, chciała zostać lekarką. Wojna i czas po wojnie zmieniły wszystko. Została żoną chłopca i osiadła na wsi. Ale to nie był zwykły chłop. Dziadek Włodek był tytanem pracy. Jako pierwszy we wsi wprowadzał modernizację, maszyny rolnicze, również radio i telewizor. Sąsiedzi schodzili się do Bursów jak do świetlicy, najpierw, żeby słuchać, a potem oglądać. Zanim wprowadzono

elektryczność, babcia Wala przy lampie naftowej czytała domownikom „Dzieci kapitana Granta” Verne’a i reżyserowała w wiejskiej świetlicy jednoaktówki Czechowa, w których grali okoliczni mieszkańcy. Wszystko to w przerwach między sianokosami, żniwami, wykopkami i wychowaniem czwórki dzieci. Tę sprawczość i determinację odziedziczyła po niej moja mama Lidia i jej siostry. Mam wspaniałe ciotki: Mirę i Zinę. Niczego nie ujmując mężczyznom, to kobiety w naszej rodzinie trzymają stery, i ta łódź wciąż płynie.

Po wybuchu wojny w Ukrainie to kobiety z dziećmi uciekały w kolejnych falach do Polski. One też musiały dać radę. Rok temu pomyślała pani o swojej babci Wali?

Tak. Znow wojna wygoniła ludzi z ich domów i skazała na tułaczkę. Pod koniec lutego 2022 r. do Polski z Winnicy, miasta w centralnej Ukrainie, przyjechała siostrzenica babci Taisa, bardzo do niej podobna. Przeżyliśmy szok, bo raptem pojawiła się przed nami babcia Wala. Spędziła w Polsce ponad trzy miesiące, mieszkając u swoich sióstr, ale tęsknota za domem okazała się silniejsza i wróciła.

Wróćmy na polsko-białoruskie pogranicze. Kołodno było katolickie czy prawosławne?

W większości prawosławne, choć katolicy też tam mieszkali. My chodziliśmy do cerkwi, nieliczni sąsiedzi do kościoła – obie świątynie były w oddalonym o 3 km Królowym Moście, niedaleko siebie zresztą. I nie pamiętam podziału między ludźmi. Oczywiście i u katolików, i u prawosławnych niedziela jest dniem świętym, tylko kalendarz świąt się różni. Czymś niezwykłym było to, że sąsiedzi doskonale znali te kalendarze i starali się w tym świątecznym czasie nie pracować, żeby nawzajem uszanować religię tego drugiego.

I tak było bez konfliktów na tym pograniczu?

Za moich czasów bez, ale może nie wiem wszystkiego? Bo z drugiej strony wielu ludzi miało tam swoje za uszami z wojennej przeszłości, choć o „takich” rzeczach oficjalnie się nie mówiło i nie chwaliło tym specjalnie. Przez pracę nad „Naszą klasą” trochę więcej poczytałam o tym, co się działo na Podlasiu przed wojną i w czasie wojny. Pojechaliśmy nawet całą obsadą do Jedwabnego. I to był dla mnie niezwykły powrót na to rodzinne, dla mnie jednak nieznane i mniej idylliczne Podlasie.

Dlaczego?

Z jednej strony był reżim prób, a z drugiej niesamowite sny, odczucia, przeczucia. Rzeczywiście, jakby się otwierały drzwi do przeszłości, do tamtej pory zamknięte na głucho, przywalone milczeniem.

A pani co się śniło po tym Jedwabnem? Do Kołodna jest stamtąd zaledwie 100 km.

Nie pamiętam szczegółów tych snów. Pamiętam poczucie, że nie dźwigniemy tego przedstawienia przez fale emocji, jakie zalewały nas w czasie prób. Początkowo miało być dużo rekwizytów, zespół klezmerski na scenie, prawdziwe instrumenty, muzyka grana na żywo. I krok po kroku Ondrej Spisak, słowacki reżyser „Naszej klasy”, rezygnował z tego wszystkiego. Została tylko goła drewniana podłoga, ławki, drzwi do tej klasy i symbole zmieniającej się władzy nad tymi drzwiami: krzyż, swastyka, sierp i młot. Z tej ascezy i tych emocji działały się jednak rzeczy nieprawdopodobne, zwłaszcza na początku. Bywało tak, że widzowie po spektaklu przychodzili i mówili: „Ale myśmy widzieli te prezenty, które dawałście Mariance w czasie wesela, przecież one były”. A nie było żadnych prezentów, czyli tego, co zostało ukradzione z żydowskich domów opustoszałych po pogromach. Mieliśmy puste ręce.

Może to sumienie już nie pojedynczego sprawcy, ale społeczności, która czuje się współwinna?

Wolę wierzyć, że poruszyła tych ludzi sama sztuka. I nie wiem, czy jest możliwe rozliczenie się z tym, co ukrywamy. Kiedy rządzi nami strach, poczucie winy, to nie jesteśmy zdolni przyznać się do zła. Nawet sam przed sobą człowiek do końca szuka usprawiedliwień, wymówek, jakby od tego, że wyzna winy i poprosi o przebaczenie, miał się zawalić świat. Może dlatego też „Nasza klasa” wzruszeń i emocji dostarczyła tym przekonanym. Tym, którzy wiedzą lepiej, nic nie zmieniła w ich postrzeganiu przeszłości. Z drugiej strony moja koleżanka, ilekroć przyjeżdża do niej rodzina czy znajomi z Izraela, prowadzi ich na „Naszą klasę”, całą wycieczkę. Po powrocie do domu wszyscy siedzą w milczeniu, nawet przy kolacji. Ale ona ma poczucie, że powinna to robić.

A co powinni zrobić pani bliscy i znajomi, którzy zostali na Podlasiu? Teraz, kiedy tamte historie wojenne zakryły dramaty na granicy i kolejne odnajdywane co kilka dni i tygodni ciała ludzi, którzy próbowali się dostać do lepszego świata i umarli w lasach koło Hajnówki, Krynek, Białowieży?

Przede wszystkim chciałabym wiedzieć więcej o tym, co się tam dzieje, bo oficjalne relacje są jednostronne, a w zasadzie ich nie ma. A niezależnie od braku wiedzy strasznie mnie serce boli, kiedy myślę o tych ludziach w lesie. Jakiś czas temu moi bliscy, którzy mieszkają w Kołodnie, opowiadali, że któreś nocy pies się im strasznie rozszczękał. I zobaczyli przez okno rodzinę z trójką dzieci. Szli środkiem przez wieś. Kilkadziesiąt kilometrów od granicy, więc oni musieli się przedrzeć przez te lasy, taki kawał świata. I pewnie zostali zatrzymani... I wypchnięci z powrotem na Białoruś.

Lubiła pani ten las wokół Kołodna?

Uwielbiałam. Teraz powoli przechodzi w prywatne ręce i jest strasznie wycinany, wręcz trzebiony. Ja chodziłam tam z babcią na grzyby, jagody, dla piękna. A teraz ktoś, idąc do lasu, może się natknąć na ciało młodego mężczyzny, dziecka, na umierającą kobietę. Przecież to jest straszne. Ta ziemia doznaje po raz kolejny od czasów wojny niesłuchanej traumy. Ludzie tam są w potrzasku i nie mówię teraz o uchodźcach, bo to oczywiste, ale o mieszkańcach.

O tamtejszych.

Tak, bo oni mają prawo przeżywać cały wachlarz emocji, od zwyczajnego strachu, bo nie wiedzą, kto w środku nocy puka do ich drzwi, po chęć niesienia pomocy, ale jak długo trzeba będzie tę pomoc nieść? To moje Podlasie, te tereny nad granicą, to są wioseczki wyludnione, zostali

w nich starsi ludzie, pokolenie wymierające. Ci młodszy najczęściej gospodarstwa przerobili na agroturystykę, mają więcej siły, ale i więcej problemów. Najpierw pandemia, teraz wojna. Kto przyjedzie na wypoczynek na rajskie Podlasie? Do Białowieży? Krynek? Usnarza? Dzisiaj? Kiedy w tych lasach ludzie walczą o lepsze życie ze strachem, że im się tego życia odmówi?

W „Uchu prezesa”, w którym zagrała pani wieloletnią sekretarkę Jarosława Kaczyńskiego panią Basię, Mariusz Błaszczak, obecny minister obrony narodowej, jest pokazany jako...

...niezborna oferma skupiona na zapewnieniu komfortu prezesowi i jego kotu. Cóż, rzeczywistość przyspieszyła. Ponad rok temu wybuchła wojna. Prawdziwa. Z ofiarami, bombardowanymi miastami, tragedią tysięcy ludzi tracących bliskich, swoje domy, miasta, miejsce na ziemi. Minister Błaszczak występuje teraz w telewizji już nie jak niezborna oferma karmiąca kota, ale szef resortu obrony narodowej. I myślę, że dzisiaj „Ucho...” takie jak przed wojną byłoby nam ciężko zrobić. Teraz więc w Teatrze 6. piętro gramy spektakl, którego autor Robert Górski sięgnął do Gogola i Szekspira i skupił się na walce o władzę. Prezes finguje swoją śmierć, chowa się do szafy i słucha w ukryciu, co o nim mówią ludzie, którzy na co dzień, gdy żył, stawiali go na piedestale.

Od premiery pierwszego odcinka „Ucha prezesa” minęło sześć lat. Z jednej strony wywoływałyście entuzjastyczne reakcje, z drugiej zarzucano wam ocieplanie wizerunku Jarosława Kaczyńskiego.

Kiedy przeczytałam scenariusz, uznałam po prostu, że jest zabawny. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że rozpęta się takie szaleństwo, jak odbierze to lewa czy prawa strona, że o ocieplaniu wizerunku nie wspomnę. Nigdy nie spotkał mnie ostracyzm z powodu słów, jakie wypowiadam, kreując postaci takie jak pani Basia. Nikt mnie nie opluł, nie zwyzywał. Jeśli zacznę się tego bać, trzeba będzie pomyśleć nad zmianą zawodu i miejsca do życia. Ale nawet nie mam gdzie emigrować, bo moje Podlasie już nie jest niewinną krainą dzieciństwa.

Zocha, którą gra pani w „Naszej klasie” Słobodzianka, mówi: „I tak się to życie zmarnowało”. W pani życiu też się coś zmarnowało?

Życie codziennie się „marnuje”, bo przemija. Najważniejsza jest terażniejszość, przeszłości już nie ma, przyszłość dopiero nadejdzie. Trzeba mieć nadzieję, że jutro będzie dobrze. Tylko tyle i aż tyle. ■